Rozmaitości

Dnia 14. Stycznia **Ner. 2.** 1831 roku.

Sztuka pisania książek.

Z Washingtona Irwinga.

Jeżeli prawdziwém jest zdanie Synezyjusza: że większym jest występkiem przywłaszczać sobie prace ludzi zmarłych, niżli ich odzież— w cóż się obróci wielu naszych pisarzy?

(*Burton's anatomy of melancoly.*)

Dziwiła mię nieraz nadzwyczajna liczba autorów, i zastanawiałem się, jakim sposobem umysły, które natura zdawała się obarczać przekłęstwem niepłodności, rodziły dzieła wielotomowe? — Jednakże równie jak człowiek w podróży życia codzień widzi mniej przedmiotów, któreby go zadziwić były zdolne, i z łatwością częstokroć dochodzi prostych powodów tego, co mu się z razu cudownem wydało, tak i ja w pielgrzymkach po ogromnéj stolicy Anglii, natrafiłem na scenę, która mi odkryła niejakie tajemnice sztuki pisania książek, i zarazem położyła koniec mojemu zadziwieniu.

Pewnego dnia w lecie, z obojętnością, jaka nam zwykle towarzyszy przy zwiedzaniu gabinetów, podczas wielkich upałów, przechadzałem się po obszérnych salach muzeum brytyjskiego: to nachylając się ku szklannym skrzyneczkom z minerałami, to usiłując odgadnąć hieroglify jakiej mumii egipskiej, lub zrozumieć allegoryczne malowania wysokiego sklepienia. Gdy tak bezczynne wiodłem oczy w około, zwróciły uwagę moję oddalone drzwi, kończące długi szereg pokojów. Były zamknięte: lecz otwierano je niekiedy; wychodziły z nich jakieś uprzywilejowane istoty, zwykle w czarnem ubraniu, które w cichości przesuwały się przez insze pokoje, nie zważając na przedmioty otaczające. Pozór tajemniczy, który to wszystko osłaniał, obudził moję omdlałą ciekawość, i postanowiłem doświadczyć, czyli mi się nie uda przejść tę cieśninę, dla odkrycia nieznanych krain, które za nią leżały. Drzwi uległy mojéj ręce z równą łatwością, jak bramy zaczarowanych zamków posłuszne są rozkazom błędnych rycerzy. Ujrzałem się w obszernym pokoju, otoczonym szafami, pełnémi ksiąg godnych poszanowania. Nad szafami, pod samym gzymsem, uszykowano wielką liczbę obrazów z wizerunkami dawnych autorów z posępnem wejrzeniem. Na około pokoju umieszczone były długie stoły z pulpitami do czytania i pisania, przy których siedziało wiele bladych, wynędzniałych osób, z oczami wlepionémi w zakurzone księgi, grzebiących w zapleśniałych rękopismach, z których czerpały obfite objaśnienia. Największa cichość panowała w tem tajemniczem miéjscu, i słychać było tylko szelest piór skrzypiących po papierze, lub głębokie westchnienie, gdy który z tych mędrców zmieniał swą postawę dla przewrocenia karty starego dzieła *in folio*.

Niekiedy który z czytających napisał kilka słow na kawałku papiéru i zadzwonił; na ten znak nadbiegał, jak sądzę, powier-

)(

nik zgromadzenia, który z głębokiem milczeniem wziąwszy podany sobie papiér wysuwał się z pokoju; lecz wracał wkrótce obciążony ogromnemi księgami, na które tamten rzucał się z nienasyconą chciwością. Nie wątpiłem iż znajduję się w gronie czarnoksiężników, oddanych badaniom nauk ukrytych dla oka pospolitego. Scena ta przywiodła mi na pamięć dawną arabską powieść o filozofie wrzuconym w zaczarowaną bibliotekę, w łonie góry, która się tylko raz w rok otwiérała; na jego żądanie duchy miéjscowe znosiły mu księgi wszelkiego rodzaju, tak że w końcu roku gdy raz więcéj czarowne podwoje obróciły się na swych zawiasach, wyskoczył nasz filozof tak pełen nauk czarnoksięzkich, że się wyniósł nad umysły gminu, i przepisywał prawa potędze przyrodzenia.

Ciekawość moja doszła do najwyższego stopnia; a widząc że jeden z powierników miał salę opuszczać, szepnąłem mu do ucha, prosząc o wytłómaczenie dziwnéj sceny, któréj byłem świadkiem; kilka słów wyjaśniło mi rzecz całą. Dowiedziałem się, że tajemnicze istoty, które miałem za czarnoksiężników, były powiększéj części autorami, którzy w téj właśnie chwili fabryką dzieł byli zajęci. I w istocie, znajdowałem się w czytelni biblioteki brytyjskiéj, w tym ogromnym zbiorze ksiąg wszystkich wieków i języków, z których o wielu już zupełnie zapomniano, a większą część rzadko kto czyta. Tymto wszakże ukrytym źródłom przestarzałéj literatury, winni są nowsi pisarze swoje istnienie; w nich czerpają wiadomości pełne gustu klassycznego, wzory pierwiastkowéj czystości języka, i za ich pomocą rozszerzają szczupły zakres własnej wyobraźni.

Mając już wyjaśnioną sobie tajemnicę, usiadłem w zakątku z zamiarem, poznania metody tych obrotów literackich.

Najprzód zwrócił moję uwagę człowiek ze złośliwém wejrzeniem, którego poszukiwań jedynym były przedmiotem dzieła najbardziéj przez robaki uszkodzone, i drukowane charakterem gotyckim. Widocznie układał dzieło głębokiéj erudycyi, potrzebne każdemu kto chce ujść za uczonego, byle je, choć bez zamiaru czytania, postawił w najwidoczniéjszém miejscu biblioteki, lub rozłożył na stoliku. Uważałem, iż niekiedy wyjmował z kieszeni spory kawał chleba, i gryzł go ze smakiem; byłże to jego obiad? lub czyli chciał tylko zapobiedz wysilieniu żołądka, jakie zrządza długie ślęczenie nad oschłémi dziełami? — niechaj to uczeńsi ode mnie roztrząsną.

Był tam także człowiek zwinny, nizkiego wzrostu, w jaśnem ubraniu, w którego twarzy malowała się wielka gadatliwość i roztrzepanie; zdawało mi się, że widzę autora, którego interessa księgarskie dobrze stoją. Przypatrzywszy mu się z uwagą, poznałem w nim starannego zbieracza rozmaitości, które w księgarstwie mają tak wysoką cenę handlową. Ciekawy byłem jakim sposobem wyrabia on swoje towary. Hałasował więcéj i zdawał się bardziéj zajętym, jak wszyscy inni; szperając w rozmaitych księgach, przewracał z szelestem karty rękopismów, a biorąc po kawałku z każdego, skupiał wiérsz na wiérsz, zdanie na zdanie, trochę ztąd i ztamtąd. Ogół jego dzieła musiał być tak różnorodnym, jak mieszanina w tygielku czarownic w Mackbecie, którą składały; »palec wielki i mały, noga żaby, żądło padalca,« a jego własna gadanina jak »krew małpy« czyniła mieszaninę »gęstą i lipką.«

Wreszcie, pomyślałem, może ważne jakie powody zaszczepiają w autorach tego ducha kradzieży? może opatrzność chce tą drogą przenieść nasiona nauk i mądrości od pokolenia do pokolenia; pomimo nieuchronnéj zatraty dzieł, w których życie wzięły? Widzimy jak mądre, choć dziwaczne, jest urządzenie natury w przenoszeniu ziarn nasiennych z jednego klimatu w drugi, za pomocą podgarla niektórych ptaków, tak że zwierzęta, które nie mają same z siebie żadnéj wartości, i zdają się być przeznaczone na niszczenie owoców i zboża, stają się w istocie pośrednikami, przez których natura roznosi i uwiecznia swoje błogosławieństwa. Podobnież tłumy tych pasorzytnych pisarzy, porywają autorom dawnym lub mniéj znanym ich piękności i wspaniałe myśli, które tym spo-

sobem po upływie wielu lat na nowo rozkwitają, i owoce nam przynoszą. Wiele także dzieł dawniéjszych ulega pewnemu rodzajowi metempsichosis i pod zmienionym kształtem na nowo się ukazuje. Co wprzód miało formę ociężałéj historyi, odradza się w postaci romansu; dawna kronika zmienia się w nowoczesną komedyją; a poważny traktat filozoficzny dostarcza osnowy do tłumu lekkich, i wesołych przypowiastek. Toż samo przytrafia się przy karczowaniu lasów w Ameryce. Po wypaleniu wspaniałych sosen, pokolenie karłowatych dębów zajmuje jego miéjsce; i nigdy się nie zdarza, aby nawet pień zwalonego drzewa niknął bez śladu; albowiem psując się, daje zaród całemu pokoleniu grzybów. Nie uzalajmy się więc na zapomnienie i utratę wziętości, jakiéj doznali starożytni pisarze; albowiem ulegli oni tylko wielkim prawom przyrodzenia, które ograniczyło istnienie wszelkich ziemskich utworów, lecz które zarazem postanowiło, że ich pierwsze przyczyny nigdy nie zaginą. W królestwie zwiérząt i roślin pokolenie jedno następuje po drugiém, lecz nie giną ich szczególne rodzaje. Tak też pisarze rodzą pisarzów, a doczekawszy się licznego potomstwa, zasypiają na starość ze swymi przodkami, to jest z autorami którzy ich poprzedzili, i stali się ich łupem.

Gdym tak pozwalał bujać mojéj imaginacyi, oparłem głowę na stosie poważnych foliantów; i czyli to pochodziło z usypiających ksiąg tych wyziewów, czyli z głębokiéj ciszy miéjsca, czyli wreszcie ze znużenia w skutku dalekiéj przechadzki, a może z nieszczęśliwego nałogu drzymania w miéjscu i czasie niestosownym (nałogu który we mnie do wysokiego doszedł stopnia) w krótce zasnąłem. Pomimo to wyobraźnia moja nie przestała być czynną i przedstawiała mi też samę scenę, zmienioną tylko w niektórych szczegółach. Sniło mi się, że pokój ten zdobiły ciągle wyobrażenia dawnych autorów, lecz w większéj liczbie. Znikły długie stoły; a w miéjscu mądrych czarnoksiężników, postrzegłem tłum ludzi okrytych łachmanami, jakich często widzieć można przed wielkim składem tandety na *Monmouth-Street.* Przez niestosowność snom właściwą zdawało mi się, że książki przez nich wybrane zmieniały się w odzież dawnego lub cudzoziemskiego kroju, którą starali się sobie przyswoić. Uważałem jednakże, iż żaden z nich nieprzyodziewał całkowitego ubioru; lecz wziąwszy rękaw z jednéj szaty, z drugiéj kołnierz, z innéj połę, z tych różnorodnych części strój swój układał; gdy tymczasem ich własne łachmany przebijały się z pomiędzy pożyczonych ozdób.

Uważałem tam duchownego wspaniałéj postawy, żywych rumieńców, i nie złéj tuszy, który przez szkiełko rzucał ciekawe wejrzenia na kilku spleśniałych pisarzy polemicznych. Miał on wielką chęć ściągnąc ogromny płaszcz jednego ze starych ojców kościoła, a zdartą innemu siwą brodę przylepiwszy do twarzy, usiłował nadać sobie powierzchowność człowieka nadzwyczaj mądrego; pomimo to niezgrabny uśmiech malujący się w jego pospolitych rysach, nie bardzo się zgadzał z postawą mędrca.

Drugi słabowitéj cery naszywał lichy bardzo ubiór złotémi nićmi, wyciągniętemi z kilku starych dworskich sukien z panowania królowéj Elżbiety. Inny przyodział się wspaniale bogatym rękopismem, i przypiął sobie do boku bukiet zebrany w raju ciekawych wynalazków, a włożywszy na bakier kapelusz Filipa Sidnéj, przechodził się z nadętą, i wyszukaną postawą niezgrabnéj układności. Inny jeszcze nizki i schorzały, z zuchwałością okrył się łupem kilku niezrozumiałych traktatów filozoficznych; tak że powierzchownością nakazywał poważanie, lecz opłakany był stan niższéj części jego ubioru, którą załatał pergaminem z jakiegoś łacińskiego autora.

Uważałem kilku dobrze ubranych ichmościów, wybierających same tylko drogie kamienie i klejnoty, które jaśniały w ich gustownem ubraniu nie ujmując mu blasku. Niektórzy także zdawali się przypatrywać szatom starożytnych pisarzy dla przejęcia się tylko ich gustem, równie jak naśladowania ich przyjemnéj postawy i

dowcipu; lecz zboleścią wyznać muszę, że wielu także nie wahało się od stóp do głów przybrać suknie złupione z innych, wsposobie najdziwaczniejszej łataniny. Nie należy zamilczeć o pewnym jenijuszu w ubraniu z grubego sukna, w kapeluszu arkadyjskim, który był zapalonym wielbicielem poezyi pasterskiej; chociaż klassyczne ustronia Primrosehill, i samotne gaje Parku Regenta,*) były krańcem jego wiejskich wędrówek. Okrył on się wieńcami, i wstążkami wszystkich dawnych śpiewaków sielskich; a pochylając głowę na bok, przechadzał się z postawą pełną sentymentalności i przesady, nucąc piosnki po zielonych łąkach. Lecz najbardziej uderzył mię człowiek niemłody w sukni duchownej, z głową nad miarę wielką, czworograniastą i łysą.

Z wydętemi policzkami, sapiąc, wszedł do sali, łokciami otworzył sobie drogę śród tłumu, rzucając naokoło spojrzenia, które wskazywały jego wyższość; a ująwszy grube greckie dzieło *in quarto*, zarzucił je na głowę, i z tryjumfem postępował dalej w ogromnej kędzierzącej się peruce. Śród tej literackiej maskarady z nagła słyszę krzyki: trzymajcie! złodzieje! łapcie! Pogladam a otoż ożywiają się obrazy na około muru! Wysuwają się z nich naprzód głowy, potém ramiona, i całe figury dawnych autorów; ci przez chwilę z ciekawością przypatrują się upstrzonej rzeszy kompilatorów, potém z wściekłością rzucają się na nich dopominając się wydartej własności. Niepodobna opisać przestrachu, i powszechnego zamieszania. Nieszczęśliwi winowajcy napróżno usiłowali ujść ze zdobyczą. Z jednéj strony można było widzieć pół tuzina starych zakonników, odzierających tegoczesnego nauczyciela, z drugiej okropne spustoszenie poniesiono w szyki nowszych pisarzy dramatycznych. Nierozłączeni Beaumont i Fletchir, jak Kastor i Pollux roznosili postrach na polu bitwy; a silny Ben Jonson więcej tu blizn zadał, aniżeli we Flandryi służąc za ochotnika w wojsku angielskiem. Co do małego zbieracza drobnostek o którym wspomniałem: iż na kształt pajaca ustroił się w pstrociny wszelkiego koloru i kształtu, wszczął się około niego bój równie zacięty, jak Greków z Trojanami o ciało Patrokla. Zasmuciłem się, widząc wielu, na których zwykłem był poglądać z poszanowaniem, zmuszonych do odwrotu w łachmanach, zaledwie ich nagość okrywających. Właśnie też postrzegłem naszego starego Greka w ufryzowanej peruce, który uciekał ścigany przez dziesiątek autorów grożących mu silnym ciosem. Dopadli go wkrótce; w mgnieniu oka peruka jego w górę podskoczyła; za każdém ruszeniem tracił część swego stroju: tak że w krótkim czasie pobity, pozbawiony tryjumfalnej okazałości, dał widzieć swą małą wychłą figurkę i wysunął się z kilką łachmanami, które powiewały nad jego grzbietem.

Było coś tak komicznego w katastrofie tego greckiego pedanta, żem się uniósł głośnym śmiechem, co przerwało całe złudzenie. Znikło zamieszanie i hałas, sala odzyskała poprzednią postać; dawni pisarze wstąpili wramy swych obrazów; i na powrót nadali ścianom posępną uroczystość. Słowem obudziłem się: a cały tłum owadów księgarskich z podziwieniem na mnie patrzał. Ze snu mojego prawdziwém był tylko głośny śmiech; — odgłos nigdy niesłyszany w tym poważnym przybytku, i tak przeciwny uszom mędrca, że zelektryzował całe bractwo czytających.

Bibliotekarz zbliżył się do mnie, i zapytał czy mam bilet wnijścia. Zrazu nie rozumiałem go; lecz domyśliłem się wkrótce: że biblioteka ulegała w pewnym względzie prawom polowania, gdzie nie wolno uganiać się za zwierzyną bez stosownego pozwolenia, lub przywileju. Jedném słowem przekonałem się: że jestem tylko ukradkowym strzelcem, i uczyniłem spieszny odwrót; w obawie: aby cały tłum pisarzów w pogoń się za mną nie puścił.

*) Ogrody londyńskie.

Salwandego historyja Polski przed panowaniem i za panowania króla Jana Sobieskiego.

(Dokończenie.)

Księga piąta zawiera dzieje panowania Sobieskiego od pokoju zawartego w Żu-

rawnie, aż do obrad w Nimwegen. Mohammed IV. ciągnął do Polski z siłą wojenną, Kara Mustafa, poźniéjszy oblężyciel Wiédnia, zdobył i zniszczył Humań. Paszowie z nad Dniestru kraj wyludniali, a Tatarowie posyłali jeńców w okolice Bałkanu i w obwód Kirkkilise (czterdziestu kościołów). Lecz Ukrainę oczyszczono z Turków, a Sobieski téj jeszcze zimy byłby odzyskał Kamieniec, gdyby go było nieopuściło wojsko litewskie, dowodzone przez Paca. Następnéj wiosny posłał Zaporożców przeciw wojsku hetmana kozaków Doroszeńki, robił układy z carem i w Żółkwi przyjmował posłów: moskiewskiego, tudzież szacha Persyi. Seraskier Ibrahim z pietnastu paszami i pięciu beglerbejami a chan Tatarów z pięciu sułtanami rodziny swojéj przybyli do Polski. Sam Mohammed IV. chciał być na czele wojska, ale pewna niewolnica polska, którą kochał i trzymał w seraju, nie mogąc przeszkodzić wyprawie przeciw ojczyznie swojéj, przynajmniej samego sułtana od tego odwieść potrafiła, że niedowodził osobiście; Ibrahim czas na oblężeniach straciwszy, udał się nareszcie do Lwowa, gdzie przez sławne zwycięztwo chwała Sobieskiego w nowym blasku zajaśniała. Autor w nocie zbija błąd anachroniczny dziejopisarzów o téj bitwie, którą ciż na d. 24. września podają, a która o miesiąc pierwéj nastąpiła. Sułtan oddalił się, a po odsieczy Trembowli i seraskier. Uwolniona od Turków Polska radości poddawała się. W Krakowie, gdzie królów polskich koronowano i chowano, sprawił Sobieski pogrzeb dwu ostatnim królom Michałowi Korybutowi i Janowi Kazimiérzowi, którego zwłoki z Francyi przybyły. Tu następuje opisanie obrzędów koronacyi. Zaledwo król zyskał czas zatrudnić się kilku nowémi przedsięwzięciami, gdy znowu wezwało go w pole przybycie wojska otomańskiego, już nie przez dawniéjszego Ibrahima, lecz przez Ibrahima Szejtana (diabła) dowodzone. Król z małą garstką wojska obwarowany w Żurawnie, wytrzymał atak stu pięciudziesiąt tysięcy ludzi; dni dwadzieścia bronił się ze swego stanowiska pośród walk ciągłych, i z podziwem Europy na chanie i seraskierze wymógł dla Polski wprawdzie niekorzystny, ale w położeniu takiém dosyć pomyślny pokój. Księga ośma stawia nam przegląd układów dyplomatycznych owego czasu i kongresu w Nimwegen. Nowy wielki wezyr Kara Mustafa, oblężyciel Humania, a poźniéj Wiédnia, mianował hetmanem kozaków Jerzego Chmielnickiego, syna Bogdana, którego autor Ryszardem tych dzikich Kromwellów nazywa, i Ukrainę do Multan przyłączył. Sobieski poskramiał jezuitów, lubo sprzyjał im i żadnych innych księży ani spowiednikami swoimi ani kapelanami nadwornymi nie robił.

Księga dziewiąta i tom trzeci zaczynają się sławnym rokiem 1683, dla uratowania Niemiec z jarzma tureckiego przez odsiecz Wiédnia, pamiętnym. Kara Mustafa chciwszy sławy niżli Kiuprylowie, ale wyniosłéjszy i mniéjsze talenta mający, marzył o zdobyciach aż w samo serce Niemiec. Lat siedm podżegał do téj wojny i tyleż się przygotowywał. Z korzyścią dla Austryi włożył Sobieski na szalę wartość wojska polskiego i swojego bohatyrskiego umysłu. Mimo zabiegów francuzkich na sejmie Sobieski doprowadził do skutku święty związek, a tym czasem Kara Mustafa w Esseku seraskierem mianowany zbliżał się do Wiédnia. To co najlepszego ma w sobie w Salwandego dziele opis oblężenia Wiédnia, sąto listy Sobieskiego. Że text pisma s. *fuit homo missus a Deo cui nomen erat Joannes* już piérwéj do Don Juana austryjackiego po bitwie pod Lepanto stosowano, dawniéj jeszcze Wolter i Coyer dowodzili. Listy, które Sobieski w ciągu świétnéj wyprawy swojéj po odsieczy Wiédnia od królowéj odbiérał, najlepiéj przekonywają, jakim złym duchem była dla niego ta niespokojna, panowania chciwa niewiasta, i jak mało zasługiwała na tytuły, które jéj w listach swoich dawał. *Seule joie de mon âme, charmante et bien —aimée Mariette!* zwykł był pisywać do niéj. W bitwie pod Parkanami opisuje nam autor wściekłość, z którą Polacy rąbali

nieprzyjaciela. W przytoczonych listach króla o wyprawie téj maluje się rycerski umysł jego, a oraz łagodność, z którą nieustanne udręczenia małżonki swojéj znosić umiał. Nim się z książęciem lotaryńskim rozłączył, wstawiał się przez tegoż do césarza, za wysłuchaniem posłów Tekelego, na których czele był młody hrabia Homonaj. Rocznica bitwy pod Chocimem uświetnioną została zwycięztwem pod Szecsen, któreto miejsce Sobieski w liście do królowéj Schetzin nazywa. Odtąd królowa nie pisała już więcéj do niego, by go do powrotu znaglić; na próżno walcząc dłużéj przeciw królowéj, przeciw zimie, brakowi żywności i wojsku, wrócił do domu, wstawiwszy się jeszcze przed wyjazdem swoim do papieża za Tekelami i ich stronnictwem. Rozkazy w tym względzie księdzu Denhofowi dane, kończą księgę dziesiątą. Sobieski w wigiliją Bożego narodzenia wrócił w tryjumfie do Krakowa, a cała Europa brzmiała pochwałami jego, wyjąwszy Francyją, bo Ludwik XIV. był zazdrośny sławie Sobieskiego. Król ten, którego całe życie z samych zewnętrznych i wewnętrznych walk się składało, zaledwo Turków wygnał z Polski i zdobył Jazłowiec, drugą stolicę Podola, gdy nowe znajdował trudności w usiłowaniach swoich, ażeby koronę na głowie syna swojego zrobić dziedziczną. Niechętni krzyczeli, że Kamieniec jeszcze w rękach Turków pozostawał. Jabłonowski miasto odebrania Kamieńca, nie mógł przeszkodzić, ażeby takowy żywnością od Turków nie był zaopatrzony, do tego zbito go jeszcze w Multanach. Po rzucie oka na owoczesną francuską i austryjacką politykę, wraca autor do obszernego planu Sobieskiego, który chciał Turcyją ze stron wszystkich opasać, a Polskę rozszerzyć od baltyckiego do czarnego morza i aż po Dunaj. Następuje opisanie wyprawy multańskiej z r. 1686, z której Sobieski w sam dzień zdobycia Budy powrócił. Sejm burzliwszy był jak zwykle z powodu ciągle wzrastającéj nienawiści między Polakami i Litwinami. Sprzeczne sobie usiłowania Francyi i Austryi dwór i naród podzielały. Z powodu detronizacyi Mohammeda IV. pokój nie nastąpił, a królowa stała na czele partyi francuzkiej przeciw austryjackiej, któréj narzędziem był jezuita Vota, lubiony od krola dla wiadomości naukowych. Krol widział się na sejmie opuszczonym, zhańbionym, nazywano go despotą, tyranem, niszczycielem wolności. Zwycięzcę pod Chocimem i Podhajcami śmiano ogłaszać nieprzyjacielem ojczyzny. Po czterech miesiącach rozwiązano sejm, wyszczególniający się tylko niesnaskami i straceniem uczonego Łyszczyńskiego, którego fanatyzmowi na ofiarę poświęcono. Nawet po ożenieniu się królewica Jakóba z księżniczką Neuburską Sobieski czasów szczęśliwszych nie dożył; królowa i synowa nie cierpiały się. Obaj królewice, będący przeciw Tatarom w polu, także się nie lubili. Śród tylu więc przeciwności w naukach tylko znajdował król pociechę. Umarł nie chcąc robić testamentu, w sam dzień Bożego ciała, będący oraz rocznicą jego urodzenia i obioru na króla. P. S. przypisując wszelkie przeciwności Sobieskiego złemu wyborowi małżonki, kończy dzieło wyszczególnieniem dziejów polskich aż do czasów naszych.

Elegija.

O biédni kochankowie! nigdyż nie możecie
Znaleźć jednego miejsca na tym wielkim świecie
Gdzieby was, jak wy wszystkich, zapomnieli drudzy,
I harmonii westchnień nie mieszał śmiech ondzy,
Gdzieby was nie dosięgła złej obmowy żmija,
Lub gorszy od Argusa potwór familija!
Choćbyś flet syna Maji odziedziczył słodki
Zerwiesz pierś, nimbyś uspił braci, stryjów, ciotki
Nic bez cierni; to ciernie przy kwiecie piękności,
Ćma lecąca by zgasić pochodni miłości.
Skoro raz twoje tkliwsze przejęli wejrzenie,
Lub z ust nlatujące zastrzegli westchnienie,
Ci już nos przez dzień cały więżąc w okularach,
Po jenealogicznych szczeblują konarach,
Aby z ich rozłożłości i wyżyny dośli,
Czy sok pieńka wart krążyć po ich latorośli.
Tych oczy, jak kozaki strzegące granicy,
Ze wszech stron zabiegają sercu synowicy:
Aby gdzie nieprzebiło linii kordonu,
Familijnéj godnosci, lub dobrego tonu.

Ci nakoniec z gorliwéj niegubiąc uwagi,
Jak co rychlej sióstr zbywszy zatrzymać posagi,
Arytmetycznie pragną rozwiązać zadanie,
Czy szwagier na miłości siostry poprzestanie,
Lub czyli jeszcze za nią, dla kochanych braci,
Protekcyją, darami, godnie się wypłaci.
Biada tobie nieszczęsna! jeżli kochasz szczerze,
A serce twoje tylko takiego wybierze,
Co choć najświetniejszemi zbogacon zalety,
Choć głośny — skoro tylko nie brzękiem monety —
A zatem familijna gdy twoja starszyzna,
Za dobrą go dla siebie partyję nie przyzna.
Przygotuj serce twoje do cierpień tysiąca,
Nie rozbroi szydercy łza w twem oku drżąca,
Nie nbłagają względu twój smutek i męki,
Ni litości gasnące i zdrowie i wdzięki.
Okrutni! lecz was dzikie omylą rachuby:
Wiecznie wart być przeklętym, kto widząc łzy lubéj,
Łzy które otrzeć może, w lękliwym zapędzie
Na was, i na świat cały chwilę zważać będzie.

Chodź do mnie.

Chodź do mnie moja dziewczyno!
Niech cię do serca przytulę!
Samotne godziny płyną.
A ja cię kocham tak czule!
Tęskno mi, pusto bez ciebie,
Zlituj się — na chwilkę do mnie!
Choć chwilkę przebędziem w niebie;
Dziewczyno moja — chodź do mnie.

Pień smutny w korze usycha,
Powój się czołga wśród boru,
Pień dawno do kwiatka wzdycha
A kwiatek słaby bez wsporu.
Trawi się ogniem młodzieniec!
Dziewica — westchnęła skromnie;
Pień uschły umaił wieniec,
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

Jeżli cię smutek przyciśnie,
Ja w serce pociechę wleję;
A gdy radość w licu błyśnie
I ja się z tobą rozśmieję!
Od wichrów zadrżały bory!
Pień silny stoi niezłomny;
Powój się trzyma podpory;
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

Będziem się wspierać wzajemnie,
W każdéj złączeni potrzebie;
Ty będziesz silną przeze mnie
A ja szczęśliwy przez ciebie!
A gdy Bóg śmierci anioła
Z palmą chwały ześle po mnie,
I w tenczas dusza zawoła:
Dziewczyno moja — chodź do mnie.

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— Ze Lwowa. —
(Nadesłane.)

Wiadomość o zdrowiu pana Marszal artysty teatru niemieckiego lwowskiego, i pierwszego tenorzysty.

Podpisany chcąc na tylokrotne zapytania o zdrowie i chorobę pana Marszal odpowiedzieć, i różne zbić domysły jak i rozmaitym wykładom w tym względzie koniec położyć; następującéj w ogóle udziela wiadomości:

Chorobę pana Marszal miano za udaną; wezwano niżéj podpisanego, aby w téj mierze oświadczył zdanie swoje, które wszakże aby pewném było, podpisany radził przybrać jeszcze kilku innych lekarzy; wybór padł na dra. i professora Stechera i dra. Rappaporta.

W dniu 9tym grudnia r. z. o godzinie 10téj rano udali się: dr. i prfsr. Stecher, dr. Rappaport wraz z podpisanym do mieszkania pana Marszal, gdzie ich jego ordynaryjusz jp. prfsr. akuszerii Pfau już oczekiwał. Przełożył nam stan i historyją choroby; trudno było wszakże w tak krótkim czasie osądzić, czyli choroba pana Marszal jest udaną lub nie? Jednogłosném zdaniem lekarzy było, aby dla dojścia prawdy, chorobę tę dni kilka uważać; w tym celu wybrano dra. Stechera i podpisanego.

Skutkiem wynikłym z tych postrzeżeń było:

Że pan Marszal dotkniętym jest istotnie chorobą niebezpieczną: ale nie febrą, jak wnoszono, wycięczającą (*febris hectica*) tylko gorączką ustanną (*febris lenta*) jako skutkiem febry innego gatunku.

Przychylając się więc do prośby jp. Czabona, dyrektora teatru; podjął się podpisany w dniu 20tym grudnia r. z., leczyć pana Marszal i tyle się mu powiodło, że dziś już oświadczyć może, iż pan Marszal przychodzi do zdrowia. Jeżeli tedy stan jego ozdrowienia (który jest zawsze jeszcze stanem słabości) pojdzie stopniowo, jeżeli zawcześnie umysłu i ciała natężać nie będzie i żadnych nieprzyjemnosci nie doświadczy, przez coby mógł podpaść recydywie, lub innego rodzaju słabości; tedy pan Marszal w przeciągu 10ciu lub 14tu dni o tyle do zdrowia przyjdzie, iż znowu na teatrze z oklaskami jako pierwszy tenorysta przyjętym zostanie.

We Lwowie dnia 7. stycznia 1831.

August Józef Maryja Rhodius,
doktor medycyny i chyrurgii; były zwyczajny i publiczny professor chemii i botaniki w byłym c. k. uniwers. krakowskim; a teraz mianowany c. k. fizykiem cyrkułu lwowskiego.

— Z Rossyi. —

Adam Mickiewicz wydaje romans z rzeczy czeskich pod napisem: Zyszka.

Rossyja liczy 50 milionów chrześcijan, z których 40 mil. jest dyzunitów, 8 mil. rzymsko-katolickiego obrządku, a 2 mil. protestantów. Trzy miliony wyznaje naukę Mohammeda, a reszta ludności są różnorodni poganie.

— Z Krakowa. —

P. Głowacki, nauczyciel rysunku w Krakowie, wydający swojego pięknego rysunku widoki w litografii paryzkiej, wybornie litografowane, wydał już zeszyty pierwszy i drugi tych widoków, zamykające w sobie: 1. Zamek krakowski od Stradomia. 2. Ruiny Tęczyna. 3. Widok Tyńca nad Wisłą. 4. Bramę floryjańską. 5. Widoki zamków Ojcowa i piaskowéj skały, wraz z okolicami; 6. puszczy S. Salomei na Grodzisku i 7. Starego Łobzowa. W krótce spodziewany jest zeszyt trzeci, w którym mają być umieszczone widoki kościoła na skałce nad Wisłą, kościoła katedralnego w Krakowie od strony południowéj, z jego sławnemi kaplicami, zamku krakowskiego ogólnie wziętego w całej przestrzeni od północy i klasztoru Bernardynów w Alwerni. Cały zbiór ten ma wyjść w sześciu zeszytach, każdy po cztéry widoki, do którychto widoków mają być także dołączone opisania drukowane.

— Z Hamburga. —

Piérwszy koncert P. Sontag w Hamburgu był tylko w pół pełnym. Gdy zaś nazajutrz czytano w pismach publicznych, iż przyszłym koncertem śpiewaczka na zawsze rozstaje się z zawodem swéj sztuki, sala została przepełnioną. W końcu tegoż koncertu oświadczono, iż p. Sontag, na życzenie powszechne, trzykroć jeszcze słyszéć się da w teatrze, a nazajutrz żadnego już biletu dostać niemożna było pomimo podwyższonéj ceny. P. Sontag odśpiéwała hymn narodowy: „Cześć ci Hamonjo!" a za każdą zwrotką, zapał był nadzwyczajny — lecz o wieńcach i sonetach niechcieli nic wiedziéć dobrzy Hamburczykowie. I przed pomieszkaniem artystki było spokojnie, żadnéj nie słyszano serenady, lecz dochód dwu koncertów w sali Apollina wynosił 20,000 grzywien banko. 22. listopada opuściła artystka Hamburg i udała się do Hollandyi.

— Z Francyi. —

W Paryżu wyszła w języku francuzkim historyja Polski Zielińskiego: *Histoire de Pologne par M. Zieliński.*

W Paryżu należy do dobrego tonu noszenie dzwonków małych, miasto kluczyków od zegarka przy łańcuszku. — Im onych więcej nawieszać można, tym lepiej. — Prawdziwego eleganta zaraz można poznać; bo nim nadejdzie dzwonki słyszeć się dają.

W paryzkich żurnalach znajduje się wyrachowanie ile zbroi potrzebuje gwardyja narodowa. — Liczba téj gwardyi wynosi: 3,500,000 z których jeden milion już uzbrojony. Potrzeba zatem jeszcze 2 i 1/2 miliona karabinów: każdy karabin kosztuje 35 franków, do tego ładownica, rzemienie, pałasz i t. d. znowu 18 franków; całe zatém uzbrojenie żołnierza 53 fr. co razem wynosi 132 miliony 500,000 fr.

W Kalecie dotychczas zawsze za osobliwość pokazywano podróżnym pokój w którym miał był mieszkać sławny Stern. Dopiéro teraz pokazało się, iż dóm ten dopiero po śmierci Sternego zbudowanym został.

Pod Roanne załamało się było dno powozu pocztowego pod ciężarem kilku milionów w złocie, wiezionych ze skarbu algierskiego. Jedni z podróżnych uratowali się wyskoczeniem, drudzy uszkodzeni zostali.

— Z Anglii. —

Hrabia Grey, teraźniejszy pierwszy minister angielski, jest wzrostu średniego, bardzo chudy, i bardzo szczęśliwie żyje w kole licznéj rodziny. Ród Grejów należy do najstarszych w hrabstwie Northumberland, i już za Edwarda IV. udarzony został szlachectwem. Hrabia Grej ma 13 dzieci; jego syn najstarszy jest członkiem parlamentu. Najstarsza z jego 5 córek poślubioną jest lordowi Durham (dawniejszemu p. Lambton.)

Pomiędzy teraźniejszą ludnością Londynu składającą się z 1,350,000 dusz, mieści się 11,200 żebraków, azatem jeden na 120 mieszkańców. Każdy z tych próżniaków, przechodząc wzdłuż i w szérz ulice miasta, zbiera dziennie dwa szylingi (1 zr. 12 kr.) wszyscy zatem razem 1120 funt.szter.(13,440zr.). Każdy z nich ma własne łoże, do czego umyślnie urządzone są niektóre domy. Za mierną zapłatę nocują tam, z rankiem wychodzą i nie wolno im aż znowu na noc się wrócić. Co rok zgromadzają się na ogólny sobor, a miesięcznie na szczegółowe sobory, gdzie naradzają się względnie spólnych stosónków. Dzielą się na kohorty, batalliony, kompanije i sekcyje. Każdéj z tychże bywa dziennie inna część miasta i sposób postępowania wyznaczonym. Najwięcej z nich jest zdolnych do pracy i zarobienia sobie, ale bezczynne włóczenie się bardziéj im się podoba. Bardzo mało z nich jest w istocie kalekami, jak udają. Jeden z nich James Turner, najbezczelniejszy i najprzebieglejszy wydaje dziennie tylko na rozrywkę, 50 szylingów. Żona jego daje lekcyje żebractwa za płacę szylinga na godzinę, a mówią iż ta szkoła bardzo odwiédzaną bywa.

— Z Algieru. —

Oficérowie francuzcy będący w Algierze skarżą się, że choć żywności zupełnie im nie brakuje, toaleta ich jednak w najgorszym jest stanie; mundury bowiem zupełnie są wytarte. Gdyby jaki krawiec, wziąwszy z sobą kilka postawów sukna, udał się tam, pewnie najlepiéjby na tém wyszedł.

Jenerał Clausel nadał pewnemu francuzkiemu przedsiębiercy trzyletni przywiléj na ustanowienie teatru w Algierze. Rząd buduje salę na własne koszta i ofiaruje 99,000 franków rocznego zasiłku. Dziwny jednak ma być warunek w kontrakcie, aby tylko włoskie opery dawane były. Słychać iż krajowcy także okazali chęć odwiedzania mającego powstać teatru i przyczyniania się do utrzymania tegoż. Na życzenie zatém Maurów będzie pewna część lóż z kratkami i zasłonami dla dam algierskich, które w teatrze chcą widziéć a nie chcą być widzianemi. (!)

Anekdoty.

Pewien uczony kazał sławnemu malarzowi odmalować się; krom jednak zdatności, nieudało się malarzowi trafić dobrze twarzy uczonego. Odmalowany nie chciał zapłacić za portret dla braku podobieństwa, lecz od malarza zapozwany przymuszonym został do zapłaty, ponieważ sędzia utrzymywał, iż jak dla poety, mającego żywą wyobraźnię, dosyć jest podobieństwa. Zapłacił więc uczony, a powiesiwszy portret w swym pokoju, umieścił pod nim napis: „mocą wyroku sądowego z dnia 12. grudnia 1830 za podobny uznany!"

Pewien arytmetyczny zbijacz bruku w Paryżu, wyrachował: że gdyby bruk tegoż miasta, ulicę po ulicy, wzdłuż popostawiać, byłaby droga, z jednej strony do Moskwy z drugiéj do Lizbony dochodząca.

P. Benedit, amerykański kapitan trójmasztowego okrętu, zwanego Ludwik Filip I., wylądowawszy niedawno w Havre, uczcił króla Francuzów przesłaniem mu kilku batelek nadzwyczaj przedniéj tabaki. Król zawdzięczając tę grzeczność, przesłał mu, dla okrętu, egzemplarz nowo odlanej własnej statui z bronzu, przedstawiającéj go na koniu, z podpisem: Ludwig Filip I.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.